

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁEM

WARSZAWA, ŚRODA 22 MARCA 1933 ROKU Nr. 29

# PŁOMYK

*tygodnik ilustrowany  
dla dzieci i młodzieży*



JUŻ WIDAĆ WIOSNĘ!

## WYCIECZKA DWORKU CISOWEGO.

(Dalszy ciąg).

W dzień wyjazdu wstaliśmy o godz. 3-ej rano i czterema furkami, na których były poukładane nasze rzeczy, dostaliśmy się do Nowego Targu. Droga ta trwała cztery godziny, podczas której było nam wesoło, śpiewaliśmy nasze piosenki, a furmani próbowali się nawzajem prześcignąć. Na stacji musieliśmy przeladować swoje rzeczy z fur do wagonu i poukładać je w przedziałach. Akurat, gdyśmy wszystko uporządkowali, przyczepili do naszego wagonu lokomotywę, która zawiozła nas przed peron. Wszyscy cisnęli się do okien i żegnali się z druchnami, które zostawały.

Do Krakowa przyjechaliśmy około południa. Tam byliśmy na kopcu Kościuszki, skąd roztaczał się piękny widok na leżące w dole miasto, pogrążone już trochę w mroku wieczornym. Wracając z kopca, wstąpiliśmy do cukierni na ciastka. O północy wyjechaliśmy do Lwowa.

We Lwowie bawiliśmy cztery dni. Zwiedzaliśmy katedrę grecką, ormiańską, łacińską i kościół dominikański. Bardzo nas interesowało zwiedzenie Ossolineum. Ossolineum jest to instytucja naukowa, do której należy muzeum, wydawnictwo, ołbrzymia biblioteka wraz z pracowniami i czytelniami. Tam pokazano nam dużo sal, w których stały tylko półki z książkami; półki te stały na środku, z boku i tworzyły jakgdyby labirynt, w którym można było zabłądzić. W kilku oszklonych pulpitych leżały zeszyty, w których nasi wielcy autorowie, jak Żeromski, Słowacki, Mickiewicz, Sienkiewicz pisali własnoręcznie swoje dzieła. W muzeum najbardziej przypadło do gustu wszystkim uzbrojenie dawnych rycerzy i zabytki po przedhistorycznych ludziach, jak kamienne siekierki, gliniane miski. Widzieliśmy także kawałek mumji: zabalsamowaną głowę człowieka oraz zabalsamowanego kota.

W muzeum Dzieduszyckich znajdują się przedewszystkiem zbiory przyrodnicze, a więc zasuszone rośliny, wypchane zwierzęta, ryby i ptaki; były także jajka i gniazda ptasie.

Najbardziej ze wszystkiego podobała się nam we Lwowie panorama Raclawicka, która się mieści w wielkim, okrągłym gmachu. Po kupieniu biletów wstępu, prowadził nas przewodnik przez ciemny korytarz, a następnie krętymi schodkami wyszliśmy na platformę, podobną do okrągłego, lekko pochylonego daszka. Wtedy przed oczyma naszymi roztoczył się dziwny i piękny widok. Zobaczyliśmy walkę nieprzyjacielskie. Kosynierzy atakują artylerję. W innym miejscu wre bitwa, pod krzyżem modlą się Polacy. Niedaleko rozwalonej chaty opatrują rannych żołnierzy. Wdali widać konnicę polską, szykującą się do ataku. Wojska rosyjskie cofają się w nieładzie przed atakującymi Polakami. Wszystko to jest namalowane na obrazie, który jest oświetlony od góry. Nie myślcie jednak, że panorama Raclawicka jest to jakiś mały obrazek, oprawiony w drewnianą ramę; ona jest ołbrzymia, rozpięta na ścianach okrągłego budynku. Trudno spostrzec, w którym miejscu płótno styka się z ziemią, bowiem niektóre przedmioty są częściowo namalowane, a częściowo prawdziwe, a niektóre całe są prawdziwe.

W Książnicy-Atlas pokazano nam bardzo dokładnie, jak się drukuje książki i mapy. Szczególnie nas ciekawiło to, jak najprzód mapy fotografowane są na białe, ażeby później różnemi kolorami je odbijać.

We lwowskim radju jedna z naszych druchen wygłosiła odczyt o Dworku i o tem, jak w nim żyjemy. Myśmy słyszeli ten odczyt w szkole Pana Dyrektora Kistryna, gdzieśmy często po południu werandowali i odpoczywali, a Pan Dyrektor Kistryn częstował nas dobrmi rzeczami.

We Lwowie zwiedziliśmy także browar, targi wschodnie, lotnisko i cmentarz obrońców Lwowa, na którym leży Jurek Bitschan. — Byliśmy także na bardzo wesołym filmie: „Król to ja”. W nocy wyjechaliśmy ze Lwowa do Krzemieńca.

Krzemieniec, niestety, przyjął nas nieuprzejmie, gdyż przez cały czas naszego pobytu tam padał deszcz, a w ostatnim dniu po południu nawet strasznie lało.

Zwiedziliśmy przedewszystkiem Liceum Krzemienieckie, gdzie nam wszystko bardzo dokładnie pokazano, objaśniano i bardzo gościnnie przyjęto. W Liceum byliśmy na audycji szopenowskiej i na bardzo miłej i wesołej wieczornicy, którą dla nas urządziło harcerstwo krzemienieckie. Nasz Pan Profesor wygłosił odczyt w du-

# PLOMYK

Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży



W WARSZTACIE SZEWCIM

Mal. Br. Wiśniewski

## ZA DWÓCH.

Mój ojciec ma zgarbione plecy  
i ciężki krok,  
włosy przedwcześnie posiwiałe  
i jasny, mądry wzrok.  
Mój ojciec ma stwardniałe ręce,  
pełne odcisków, blizn i szram  
(pracował przecież już  
w warsztacie,  
gdy miał lat tyle, co ja mam!)  
Mój ojciec z trudem czyta kurjer,  
w pisaniu często robi błąd.  
— Nie umiem, synku — mówi  
do mnie, —

— nie umiem tego, bo i skąd?  
Toć zarabiałem już na siebie,  
zaledwem skończył dziewięć lat.  
Nie byłem nigdy w żadnej szkole.  
Taki, to, synu, był mój świat...  
Tak mówi ojciec.

A ja wiem,  
że sobie wtedy myśli o mnie  
i w duchu cieszy się ogromnie.  
Bo ojciec, mój najlepszy druh,  
wie, że się uczę — za nas dwóch!  
EWA SZ. - ZAREMBINA.







Fot. Jan Ryś.

POMNIK JANA KILINSKIEGO.

# Helena Krüger

# Codzien...

Więc tak: do tramwaju jak się idzie, no, to jeszcze pół biedy. Ulica w środku miasta, to po obydwu stronach sklepy, wystawy takie, że jest na co popatrzeć. A przy samym przystanku — wielki sklep z zabawkami! A tramwajem to trzeba jechać czterdzieści minut! Ale to jeszcze nie najgorsze, w wagonie dużo ludzi, i zawsze się coś ciekawego, albo śmiesznego przytrafi. Ale ten kawałek drogi od przystanku do domu to jest najgorszy. Ani miasto, ani wieś. Domy takie brzydkie, drewniane, stare, albo nowe z czerwonej cegły, sklepów mało, ulica bez chodników, jak na wsi, a drzew niema, jak w mieście. Ale rodzice Karolki i Wiktora przeprowadzili się tutaj niedawno, bo fabryka dała tu ojcu mieszkanie, a i wszystko można kupić taniej, niż w środku miasta. To trudno! Każdy rozumie, że ojcu dużo łatwiej, jak za mieszkanie nic nie zapłaci i do fabryki ma blisko, ale jak się przypomni tamto mieszkanie na Wspólnej, gdzie była gromada znajomych dzieciaków i ogródek przy kościele tuż, tuż!... Karoli aż chce się płakać. Namyśla się, coby tu powiedzieć i wkońcu zaczyna:

— Wiesz co?... — ale przerywa, bo Wiktor zakasłał się znowu i zupełnie się nie może uspokoić. Stoi na środku ulicy i aż się trzęsie od kaszlu. Karola bierze go za rękę — gorąca:

— Wiktek, ale ty jesteś chory! — mówi przestraszona.

— Idź, jeszcze mi będziesz puls liczyć — mówi Wiktor, — ważny doktor, może mi receptę napiszesz?

Ale Karolka teraz nie słucha, co tam Wiktor opowiada.

— Musisz zmierzyć gorączkę — mówi — i napić się malin, a teraz lećmy prędko do domu, bo przemokniesz zupełnie.

— Aha, tak jakbym już nie był przemoknięty — mruczy Wiktor. — Lewy but to na wylot mokry, o, jaka dziura.

Karola aż głową kiwa — z chłopakami to tak zawsze!

— I tak latasz w deszcz w dziurawym bucie?

— Wczoraj go rozharatałem, bo wszedłem na kawałek szkła, a dzisiaj zapomniałem, dopiero patrzę — co tak mokro? — opowiada Wiktor, ale już się trochę przestraszył, że może naprawdę taki chory?

Karolka rozgląda się: do domu jeszcze ze dwadzieścia minut drogi, kałuże po kostki, Wiktek przeziębiony i tak jakby boso, bo taki but dziurawy, to się przecież nie liczy, ma lecieć do domu... co poradzić? A tu wiatr jak nie zawionie!... I coś tak jakby: klap, klap, nad ich głowami. Patrzę, co to? A to taki duży but z blachy, co oznacza, że tutaj mieszka szewc. I rzeczywiście niżej mała tabliczka, a na niej napisane: Antoni Krzyśiński — obuwie i reparacje.

— Wiktek — mówi Karolka uradowana, — chodźmy do tego szewca, on ci zreparuje na poczekaniu, a że ze szkoły wyszliśmy wcześniej, to przyjdziemy do domu na czas i mama się nie będzie niepokoiła.

Wiktor to się zawsze lubi trochę pokłócić, ale teraz tak mu zifno i kaszel go trzęsie, to już nic nie mówi, tylko idzie posłusznie za Karolką. Karolka jest od niego młodsza o całe dwa lata, ale w takim wypadku, to zawsze co dziewczyna, to dziewczyna. Zresztą może ona naprawdę będzie doktorem? No dobrze. Schodzą po schodkach w dół (bo ten szewc to jest w suterynie) i wchodzą do malutkiego sklepiku. Dzwonek u drzwi dzwoni, jak opętany, a w sklepiku jest prawie zupełnie ciemno. Dopiero po chwili słychać głos:

— A co tam kawaler potrzebuje?

Pod małym okienkiem na wzniesieniu siedzi majster, okulary zsunął na czoło i patrzy na nich z wesołą miną.

— My tu, proszę pana, z butem — zaczyna Karolka, ale Wiktorowi jest już ciepło, więc odzyskał fantazję. — Czy może pan na poczekaniu zrobić taką małą reparację?

— A dlaczego nie, niech - no kawaler pokaże.

— li... mała reparacja, będzie gotowa za kwadrans, albo za pół godziny.

Oj, całe pół godziny siedzieć tutaj — wcale to im się nie uśmiecha, ale co robić? W pokoiku gorąco, więc zdejmują palta i siadają na niziutkiej ławce. Wiktor trzyma w powietrzu nogę w samej pończosze i macha nią w takt marsza, żeby się nie nudzić. Karola zaczyna ziewać. W pokoiku jest ciemno i bardzo ciepło. Widno jest tylko w kącie pod oknem, gdzie siedzi majster. Karola patrzy na niego i widzi, że ten ma ciągle minę wesołą.

— Nudno czekać, co? — mówi wesoło.

— A panu tu nie nudno? — pyta Karola.

— Mnie? a to po jaką biedę? Zawsze ktoś tu do mnie wejdzie i przez okno spojrzę od czasu do czasu i swoje buty szyję. Panienki to nikt się nie spyta, czy się nudzi, jak sobie coś tam haftuje dla zabawki — to co mnie ma się nudzić?

— Ja nie haftuję — mówi Karola prawie obrażona.

— O, nie haftuje panienka? To jakże tak? To kobieca przecież robota!

— Ja takich robótek nie robię, nie mam czasu, ja chcę się uczyć na doktora — mówi z dumą.

Majster aż gwizdnął z podziwu — fiu — jakie to dzisiaj dziewczęta są.

— Ale to nic, — mówi i śmieje się znów — moja robota to chociaż i od roboty doktora nie nudniejsza i nie łatwa wcale — i głową kręci. Tu już i Wiktek nie wytrzymał — zawsze uważał, że doktor to jakoś mniej ważny niż inżynier, ale żeby go z szewcem porównywać?

— Panie majster — mówi, — to pan tak mówi, że uszyć buty, to jest tak



samo ważne i trudne, jak człowieka wyleczyć, albo... albo... jak dom zbudować? I obydwójce patrzają na niego zaperzeni, jak koguty: no, bo co sobie myśli?

— Bah, bah — mówi majster spokojnie — pewnie, że tak samo.

No, tego to już za dużo. Wiktor chciał się zerwać z ławki, ale sobie przypomniał, że nie ma jednego buta, więc tylko podskoczył.

— Opowiadanie! — krzyknął.

— No, a jeśli opowiadanie — śmieje się majster, — to dlaczego kawaler nie czekał, aż się w tym dziurawym bucie zaziębi i doktor go wtedy wyleczy, tylko do mnie przyszedł, żeby but załatać i nie chorować wcale? Doktorby leczył kawalera, a ja wyleczę but, ale to na jedno wychodzi.

— Aha, doktor leczy, a pan zapobiega chorobie — wtrąciła poważnie i rzeczowo Karolka, zapominając o obrazie. Ale Wiktor był nieprzejednany.

— Ależ pan powiedział, że uszyć buty, to tak samo ważne, jak dom zbudować — mruknął.

— Albo i nie prawda? Dom to mieszkanie dla człowieka, a but, to mieszkanie dla nogi. Dom zbudować to długo trwa i wszyscy to widzą, bo przecież u siebie w pokoju nikt domu nie robi, to każdy widzi, że to trudna praca, a butów to przez ten czas ile ja naszyję ho! ho! Ale je każdy już widzi gotowe, to można choćby pomyśleć, że rosną w polu, jak kartofle!

— No tak, ale dom jak się buduje, to najpierw trzeba zrobić plan, potem kosztorys, potem zakłada się fundamenty, rusztowania i dopiero buduje, a but co? Bierze się skórę, szyje i gotowe. — Majster tylko się śmieje i głową kiwa.

— Oj kawalerze, codzień kawaler na swoje buty patrzy i nigdy się nie zastanowił, jak to one są zrobione?

Wiktor nie na to nie odpowiada — rzeczywiście nie zastanowił się. Majster bierze tymczasem jego but z pod pieca i zaczyna reparować zdarty obcas.

— Kosztorys, plan, fundamenty, — mówi — tak, jakby robota butów nie miała swojego kosztorysu, planu i fundamentów!

— Jakto — pyta zdumiony Wiktek — buty?

— Ano buty, buty! Przecież, jak się robi buty, to trzeba zgóry wiedzieć, ile ta para ma kosztować, czy dwadzieścia złotych, czy trzydzieści, czy nawet osiemdziesiąt? To się oblicza, z jakiej będą skóry, czy ordynarny jucht, czy boks, czy cieniułka giemza... No i naturalnie, czy cholewka wysoka, czy płytki pantofel — to jest kosztorys, a przecież skóra skórze nie równa, i boks bywa w różnych gatunkach i giemza.

— Boks — Wiktek się zdziwił — co to za skóra?

— Zwyczajna cielęca, tylko specjalnie wyprawiona, żeby była miękka a dość gruba, specjalnie na buty sportowe i dla dzieci, a giemza i szewron to już bardzo delikatna i mięciutka, to przeważnie na pantofelki i to też cielęca.

— A jucht?

— Jucht to bardzo gruba skóra, to na buty z cholewami, albo na grube żołnierskie. A sportowe drogie to z bawolej skóry.

— A kto wyprawia skóry? Też pan?

— Skóry dostają już wyprawione od garbarza, ale są przeważnie twarde, więc muszę je dostyc jakiś czas, zanim ich użyję.

— A potem?

— Potem kroję wierzch buta, o widzi kawaler, tu mam taki nóż ostry, jak brzytwa. Tym nożem wykrawam według szablonu części wierzchu buta: nosek, przyszwę, kwaterę i tył. Potem szyję wierzch na maszynie. A żeby szwy wyglądały ozdobniej i nie przecierały się prędko, naszywa się na nich pasek z tej samej skóry, przeważnie dla ozdoby dziurkowanej. Pozostaje jeszcze tylko zrobienie dziurkaczem dziurek do sznurowania i włożenie w nie metalowych kółeczek — a wierzch buta jest gotów.



— No, a podeszwa?

— Zaraz będzie o podeszwie. Jak już wierzch jest gotowy, naciąga się go na kopyto. Naciąga się obcęgami, które tem się różnią od zwyczajnych, że mają cęgi ząbkowane, żeby mocniej trzymały skórę. Kiedy wierzch jest już naciągnięty, przyszywa się lub przybija do niego warstwę skóry, lub w bardzo tanich butach — tektury, do której dopiero przybija się podeszwę. Podeszwę robi się z kilku warstw grubej i dość sztywnej skóry, która nie jest tak delikatnie wyprawiona, jak skóra na wierzch. Podeszew przybija się albo przyszywa. Jeśli się przybija, robi się w niej na jakie pół centymetra od brzegu naokoło dziurki dziurkaczem i wbija w nie małe drewniane kołeczki. Jeśli buty są szyte, dziurki robi się szydłem i szyje mocną nawoskowaną przędzą. Przytem szyje się jednocześnie obydwoma końcami nici. Potem przybija się obcas. Czasem w lekkich damskich pantofelkach obcas robi się drewniany, tylko obciążony skórą. But jest już właściwie skończony. Teraz tylko wkłada się do środka wkładkę z cienkiej skóry, a żeby gruba skóra podeszwy nie uwierała nogi, tak samo wierzch cały jest podszyty płótnem albo cienką białą skóreczką. Podeszew smaruje się glansem (rodzaj przezroczystego lakieru) i narzędziem, które się nazywa andrus, rozciera się glans, a żeby warstwa nie była za gruba a podeszew miała połysk. Odciska się numer na podeszwie — i but może być oddany do użytku.

Wiktek zamyślił się: — No tak, to jest trochę podobne do budowy domu, tylko tak zabawnie! Najpierw robi się cały but — dom, a podeszew — fundamenty na końcu. Spojrzał na warsztat, przy którym siedział majster. Warsztat jest taki niski, jak krzesło, a stółek, na którym majster siedzi, jeszcze niższy. Niebardzo to wygodnie tak cały dzień siedzieć: plecy się garbią, piersi zapadają, eh, chyba to nie taka łatwa praca! Na warsztacie leży kilka dziwnych narzędzi.

— Tak dużo narzędzi? — dziwi się Wiktor.

— A no tak. Bo to i młotek szewcki, zupełnie inny, niż zwyczajny, i szydło i dziurkacz. Tutaj jest jeszcze rolka, którą wyciska się piękne ząbki na brzegu podeszwy, a to drapak, którym robi się na podeszwie głęboki rowek, jeśli but ma być szyty, żeby łatwiej było szyc. A tu jest jeszcze kilka nożyków różnego gatunku do ścinania skóry na podeszwie, nim będzie miała dobrą grubość, a tu jest pociągiciel, którym straszą terminatorów, a który służy tylko do trzymania kopyta na kolanach. A to... jest skończony but kawalera — zakończył majster wesoło.

— O, już gotowe? — zdziwili się.

— A już w pół godziny: tak, jak miało być.

Karola się śmieje: — A ja się bałam, że się na śmierć wynudzę. A wierz, Wiktek, że to chyba nie mniej ciekawe od L. O. P. P.

— Chyba nie! — mówi Wiktor z przejęciem.

— Tak, tak — śmieje się majster. Zawsze ładne i ciekawe jest to, co się rzadko widzi. Ale tak się dobrze przyjrzeć temu, co się widzi codziennie, to dopiero jest sztuka! Moje uszanowanie panu inżynierowi i pani doktorce! Moje uszanowanie!



## JAK CZYTAĆ?

Dokończenie.

**WŁADEK.**

Chwilę jeszcze, Jóźku. Mój ojciec jest literatem. Pisze książki. Poznaje, ile razy coś nowego ma w głowie. Jest wówczas zamyślony, milczący, często przemierza krokami pokój, chodząc tam i zpowrotem. Wreszcie już widzi swe myśli, swych bohaterów. Wówczas siada, bierze pióro. Zaczyna pisać.

**JÓZIEK.**

No, to wtedy już raz, dwa i książka gotowa.

**WŁADEK.**

Oj, nie, to jeszcze długa praca. Pisze, przekreśla. — Nie, to nie tak, inni są moi bohaterowie. — Zmienia, poprawia, pisze raz, drugi, czasem trzeci... Wreszcie, po wielu trudach stworzył to, co zamierzał. Jakże droga dla niego jest ta książka! Ileż w niej wysiłków, myśli, uczucia!

**JÓZIEK.**

Nie przypuszczałem nigdy, że to taka długa i mozolna praca!

**WŁADEK.**

Ja wiem oddawna, bo mi tatusz opowiada. Ale powróćmy do nas, czytelników. Gdy wydaję wam książki z biblioteki, to czasem aż mi się serce kraje. Spojrzy niejeden z was na tytuł i powie: „Na pewno jakaś nudna książka”. A przecież tytuł to jakby imię, czy nazwisko książki i... nic więcej.

**JÓZIEK.**

Racja. Nie można sądzić z tytułu o książce, jak nie można oceniać kolegi podług jego imienia i nazwiska.

**WŁADEK.**

Naturalnie! Albo znów początek nudny, a dalej nie chce się wam czytać. Mówicie: opisy i opisy, mam tego dosyć.

**JÓZIEK.**

To może lepiej opuścić te opisy i czytać dalej?

**WŁADEK.**

Ja nie opuszczam, bo chcę poznać otoczenie, w którym żyje bohater.

**JÓZIEK.**

No tak, tak... ale, gdybym wszyst-

ko czytał, nie przeczytałbym książki przez trzy godziny i 20 minut.

**WŁADEK.**

Poco śpieszyć się? To nawet wstyd powiedzieć, że całą książkę przeczytałeś przez trzy godziny. Autor tyle w nią włożył pracy, a ty zaledwie prześlizgnąłeś się po niej oczyma. Coś po drodze schwyciłeś i jedziesz dalej.

**JÓZIEK.**

A jadę dalej, bo jestem ciekawy, co będzie.

**WŁADEK.**

Jedziesz, galopujesz i dojechałeś do końca. Przesuwały się obrazy przed twojemi oczyma, a ty nie miałeś nawet czasu, by im się przyjrzeć. A ile pięknych myśli przeskoczyłeś! Prawda, ty nie byłeś w szkole na święcie książki. A szkoda. Nie słyszałeś, jak pani opowiadała, że będąc w naszym wieku, czytała uważnie, wolno, nigdy nic nie opuszczała, bo obawiała się, że właśnie w tem, co opuści, może znajdować się rzecz ciekawa. Czasem pani powracała do przeczytanej książki, a czytając ją po raz drugi, nawet trzeci, zauważyła dużo ciekawych rzeczy, na które przedtem nie zwróciła uwagi.

**JÓZIEK.**

Żałuję, że nie mogłem być w szkole na święcie książki.

**WŁADEK.**

A żałuj! I żałuj, żeś dotychczas przerzucał książki, zamiast je naprawdę czytać. Nasza pani twierdzi, że małe dzieci poważniej słuchają, gdy im czytać książkę, niż my. Gdy zaś same czytają, również więcej interesują się...

**JÓZIEK.**

Co ty powiesz?!

**WŁADEK.**

Mówiła, że gdy czyta im jakąś książkę, proszą często, aby to samo przeczytała po raz drugi, trzeci... Lubią tę ładną książkę, chcą ją słyszeć parę razy.

Okazuje się, że z małych dzieci winny brać przykład duże dzieci. Tak powiedziałyby nasza pani.

*Czesława Fr.*



## SZCZĘŚCIE DZIECKA.

Książek różnych mam bez liku;  
 często z nimi gdzieś w kącie  
 siadam i z nich czerpię wiedzę.  
 Nieraz pół dnia tak przesiedzę.  
 I zabawek mam moc także,  
 bawić też się trzeba wszakże.  
 Gdy zaś nuda mię napada,  
 albo smutek mną owłada,  
 wtedy piosnką spędzam zmorę,  
 co przychodzi tak nie wporę.

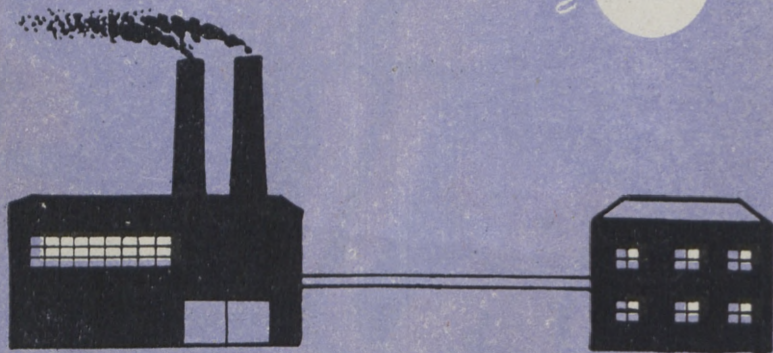
Artur Lorek.

# DAWNIEJ I DZIŚ

Dokończenie.

A ona mi tak odrzeczę:  
— Jesteś głupia baba!  
Knot twój pali się przecież  
bladziuteńko, słabo!  
Moje światło płynie z góry  
i dzień czyni w domu,  
bo ja jestem wielką córą  
niebieskiego gromu!

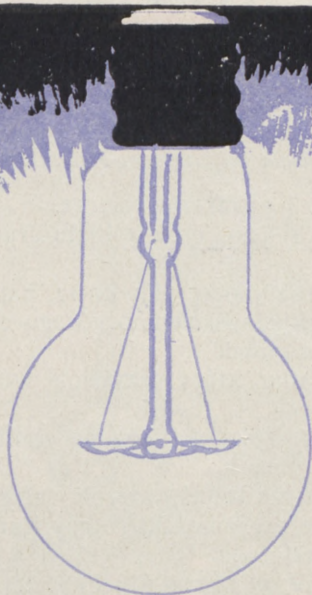
Ja — elektryczna  
oszczędnościowa  
żarówka!



Nie potrzeba nafty, ogni,  
maszyna mi z elektrowni  
śle po drutach prąd.  
A ty idź stąd w kąt!

Wylłącznikiem, jedną dłonią  
połączcie dwa drutów końce,  
a prąd wtargnie w moje serce  
i rozjaśni się jak słońce!





Stearynowa świeczka  
podała swoje słóweczka:  
— Czy gospodarz miał rzec,  
że w niej pali się sto świec?  
Nablagował nam bez wstydu:  
świecy w lampie ani widu!

29)

## BURSZTYNOWY TALIZMAN.

Opowiadanie z czasów dzisiejszych.

*Napisata E. Szelburg-Zarembina.*

Pakowny! Towary i pasażerów bierze.

— Ale ich tu więcej jest, tych z biało-czerwonemi znakami, naszych.

— A jest dużo, coraz więcej. Ale patrz, patrz!

I Karl pokazał Piotrusiowi ciemnoskórego człowieka w białej jakby chustce muślinowej na głowie.

— To Indus ze statku, który przywiózł wczoraj ładunek ryżu do łuszczarni.

— Małpka, żywa małpka u niego na ramieniu siedzi! — pisnął zachwycony Piotruś.

— Chodźmy, może ten Indus pozwoli, żeby jej cukru dać. Małpki to lubią — powiedział ze znajomością rzeczy Karl, wyjmując z kieszeni marynarki białą kostkę rafinady.

Piotruś żywo poskoczył naprzód, lecz w tejże chwili zatrzymał się jak wryty: oto krzyknął ktoś z boku:

— Karl!

I Karl zawołał: — Franc! — i zatrzymał się przy siedzącym na jakichś linach i łańcuchach, chłopcu.

Słyszy Piotruś mówią ci dwaj coś ze sobą, mówią... po niemiecku.

Tamten się teraz śmieje, ale to jest brzydki, zły śmiech, drwiący.

I widzi Piotruś, Karl stoi przed tamtym cały czerwony i coraz czerwieńszy. Milczy.

Piotruś nie rozumie nic, ale czuje, że dzieje się coś niedobrego, brzydkiego. Tamten obcy chłopak ma minę złośliwą, a Karl jakiś zakłopotany.

— Co? o co chodzi? Czego on chce? — pyta Piotruś.

— Nic, nic — odpowiada pośpiesznie Karl Piotrusiowi. — To mój kolega Franc zatrzymał mnie, żeby mi powiedzieć, żeby powiedzieć... — zająknął się Karl i zaraz okropnie się zaperzył:

— Ale on nie ma żadnej racji! Ja! kein Recht! kein Recht! — wołał już głośno do Franca.

Ale Franc nie słucha go, Franc patrzy na Piotrusia, patrzy mu prosto w jasne oczy swojemi żółtymi, drwiącemi oczami i mówi, mówi po polsku:

— Ja mu powiedziałem, coby on nie zgadzał się z tobą. Jo.

— A to dlaczego? — zdumiał się Piotruś.

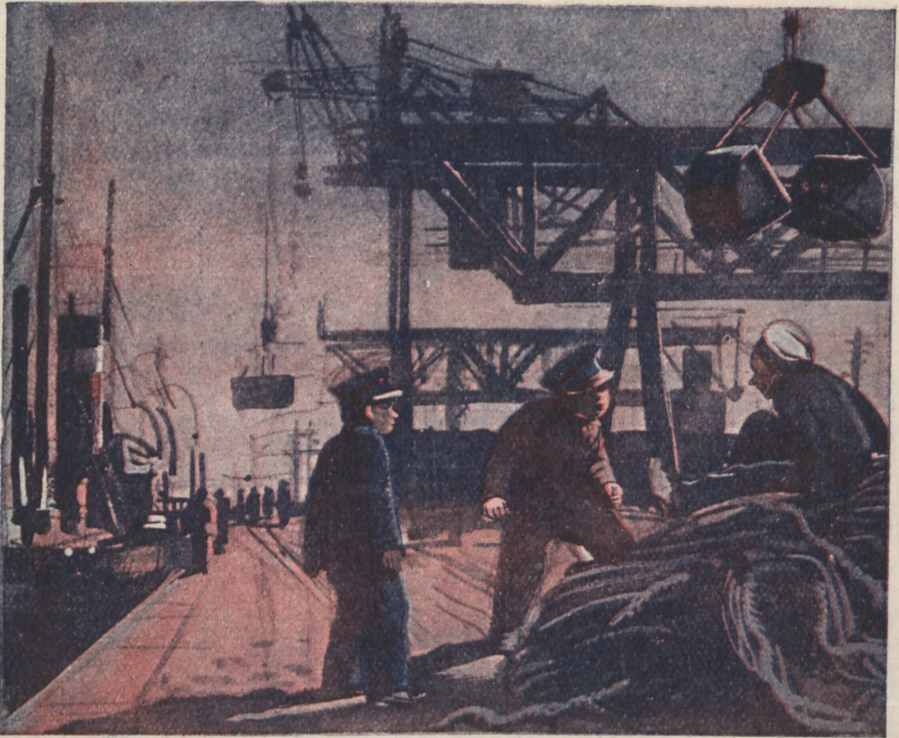
Zadarł głowę Franc i wydał lekceważąco grube usta:

— Bo porządny Niemiec nie powinien kamaradować z polskimi dziadami. Verstanden?

Karl machnął rozpaczliwie rękami:

— Nie słuchaj go, Peter, Franc jest głupi.

Ale Piotruś wrzasnął:



... wolniuteńko podchodzi do siedzącego na linach Franca.

— Milcz jeden z drugim!

Karl ucichł natychmiast, a Franc pobladł i przestał się drwiąco uśmiechać.

Piotrusia aż zatykało w gardle od wielkiego gniewu. Zaciśnął pięści i wolno, wolniuteńko podchodzi do siedzącego na linach Franca.

— Ja ci tu zaraz pokażę, kto porządny, a kto dziad...

Przemknęło mu przez głowę, że przecież on jest właściwie jeden, a ich dwu, bo Karl też Niemiec, może w bitce stanie po stronie Niemca Franca. Ale nic to. — Za taką obelgę nie daruję! nie daruję! — syczy Piotruś i zbiera się w sobie do skoku.

— Karl! — woła przestraszony Franc i podnosi się trochę z pęku lin, na którym siedział jak w gnieździe. — Karl!

Ale Karl mówi do Piotrusia, a zęby mu tak latają, tak latają:

— Ja mu pomagał przeciw tobie, Peter, nie będę. Obraził cię, to go bij! Masz Recht.

Nie wiadomo jednak, czy Piotruś jeszcze słyszy te słowa. Wspiął się jak kot i jednym skokiem jest na linach przy Francu, już, już chwytając go za kołnierz od kurtki, ale Franc zamiast, żeby jak każdy chłopak, stanąć do walki, woła:

— Bij mnie! No bij mnie! Niech wszyscy w porcie zobaczą, jak Polak kalekę bije!

Opuścił ręce Piotruś. Cofnął się, dysząc ciężko.

Franc, blady jeszcze, ale już śmiejący się złośliwie, zeskoczył z lin na trotuar.

Patrzy Piotruś, ma ten Franc jedną nogę krótszą troszeczkę od drugiej, ale nie tak znowu bardzo.

Kulawy Felek, Piotrusiów przyjaciel, gazeciarz z Warszawy, bardziej kuleje, a przecież za kalekę się nie ma i jakby co do czego przyszło, to do bitki by stanął aż miło.

A ten — tfu!

I powiedział Piotruś spokojnie: — No, to ja już wiem, kto ty jesteś, panie Franc. Obrażać to umiesz, a potem, jak co do czego, to krzyczysz, żeś kaleka. Z tobą nawet rozmawiać wstyd, boś tchórz i podstępny.

I odwrócił się Piotruś od Franca, a Karl poszedł za nim.

Franc został sam i widocznie nie był rad z siebie, bo podniósł z ziemi czapkę, co mu była spadła i wcisnął ją na oczy.

A Karl, idąc za Piotrusiem, gadał:

— Ten Franc to nawet nie jest taki zły, tylko głupi. Strasznie głupi. Jemu się zdaje...

— Jemu się zdaje, że Niemiec od Polaka lepszy, a to nieprawda — zaperzył się na nowo Piotruś i jeśli ty tak myślisz...

— Nie — przerwał Karl, — ja myślę, że Niemiec może być dobry i Polak może być dobry, ale Niemiec może być zły i Polak może być zły.

Piotruś przypomniał sobie słowa matki, które słyszał często:

— Każdy człowiek może być dobry, albo zły. I trzeba zrobić tak, żeby byli sami dobrzy ludzie na świecie.

— Karl — spytał Piotruś, — czy ty wiesz, co zrobić, żeby wszyscy ludzie byli dobrzy na świecie?

— Nie — powiedział szczerze Karl, — tego ja nie wiem. A ty wiesz?

— Ja też nie wiem. Ale bardzo mi się jeść zachciało — westchnął Piotruś.

— No, to jazda do „Gospody pod Kotwicą”! — wykrzyknął wesoło Karl. — Dziś na wieczór świeże wursty (kiełbaski) z kapustą.

I kopnęli się co tchu w stronę gospody, gdzie nad drzwiami, z których bucha aż na ulicę smakowitym zapachem, kołysała się blaszana kotwica na drucianym łańcuchu.

## R o z d z i a ł VIII.

### MUSI BYĆ LEPIEJ! BĘDZIE LEPIEJ!

W tych dniach Jadwisia Radoszówna, Bursztynowa Dziewczynka z Bursztynowego wybrzeża, odjechała zpowrotem do Bursztynowego sklepu w Warszawie.



W tych dniach Jouzek i Jank Sulicowie wyjechali ze starym Sulicą na daleki kilkudniowy połów.

W tych dniach silne jesienne już wiatry spędziły z plaży dzieci letników.

Piotruś dzień w dzień wymyka się teraz do Gdyni i przesiaduje w porcie.

Czasami, gdy mniej osób gości w gospodzie „Pod Kotwicą”, wymyka się z niej Karl i towarzyszy Piotrusiowi w gapieniu się na ruch portowy.

I Piotruś, dla którego wszystko to jest nowością, i Karl, który zna tu już wszystko, obaj na nowo za każdym razem nie mogą się dość napatrzeć, nasłuchać, nadziwić tej robocie, która wre, kipi, przewala się w porcie!

O każdej porze dnia świszczą dziesiątki syren, huczą dziesiątki i setki młotów elektrycznych i pił parowych, warczą motory maszyn, zgrzyta posłuszenie żelazo, skrzypi drzewo, bulgoce woda... Dudnią toczące się beki... hurkoczą przewożone skrzynie... kurzy się z wielkich worów, rzucanych na ziemię i kładzionych w sterty...

A nad tem wszystkim bezustannie dźwięczą ze wszystkich stron śpieszne, ważne głosy ludzkie, nawoływania, pytania, meldunki i rozkazy!

— Ojej! — myśli Piotruś. — Ale też tu bogactwa, bogactwa! Ale też tu roboty, roboty!

— Peter — pyta nagle Karl, — a tam w Warszawie dla wszystkich ludzi jest robota?

— W Warszawie? Nie, Karolu, tam dużo takich, co roboty szukają i nie mogą jej dostać. Abo co?

— A bo po tamtej stronie granicy, po niemieckiej, w Berlinie na ten przykład, gdzie moja stryjenka mieszka, też dużo ludzi roboty teraz nie ma.

— Ale tu, w Gdyni, wszyscy chyba robotę mają. Tu przecie jest co robić!

— Ano jest. Gdzieby robota była, jakby jej tu zabrakło!

Tak pogadywali sobie chłopcy, a wtem słyszą gwar jakiś w poprzecznej ulicy, wciąż głośniejszy, jakby miarowy.

Zaciekawili się, biegną tam. Patrzą:

Środkiem ulicy maszeruje pochód... ze dwieście osób, albo i więcej.

*Dalszy ciąg nastąpi.*



## MOJA PELARGONJA.

Dzisiaj nasza pani zapytała nas na lekcji, czy też które opiekowało się kiedy jakim zwierzątkiem. Odrazu się w klasie zrobił hałas, bo ten miał psa, ten kota, ta kanarka i wszyscy naraz chcieli o swoim mówić. Dopiero pani nas uspokoiła i powiedziała, żeby każdy coś o swoim zwierzątku w domu napisał, a jutro się to będzie czytać.

Przez całą pauzę nikt o niczem innym nie gadał, tylko o zwierzętach. Zosia opowiadała o swoim króliku, Janka o gołębiu, Stasia o białej myszce, Józia o kogucie, co go hodowała, kiedy mieszkała z mamą w Czerniakowie, i jak zaczęły wszystkie naraz trajkotać, to się zrobił taki jarmark, że nas aż uszy rozboleły.

Słucham tego wszystkiego i nagle robi mi się bardzo smutno. Bo widzę, że chyba tylko ja jedna z całej klasy nie miałam nigdy w życiu żadnego zwierzątka. Nie dlatego, żebym nie lubiła, ojej! i jak jeszcze lubię. Ale co z tego? Mieszkamy w takim maleńkim mieszkanku, i to nietylko ja z mamą i rodzeństwem, ale i różni obcy ludzie, co zwierząt nie lubią, więc to wcale nie moja wina, że nie mam o czym napisać wypracowania na jutro. Ale tak mi jakoś przykro, tak wstyd.

Odchodzę od grupki rozgadanych dziewczynek i stoję w kącie korytarza przy oknie.

— Jak ja wam kropnę wypracowanie o swojej sroce, to tak usta pootwieracie, o!... — słyszę, jak mówi Heniek.

Tu rozłożył ręce z takim wielkim rozmachem, że aż potracił doniczkę z kwiatkiem, stojącą na oknie. Zdążył ją wprowadzić w porę schwycić tak, że nie upadła na podłogę, ale cienkie, delikatne gałązki długo jeszcze potem drżały, jakby ze strachu. I wtedy przypomniała mi się nagle moja pelargonja, którą wyhodowałam z maleńkiej gałązki. Może pani pozwoli mi napisać o niej wypracowanie? Ona przecież też jest żywa i to nietylko dlatego, że rośnie, ale dlatego, że czuje i myśli (przynajmniej ja w to wierzę).

Wszystko to sobie przypomniałam i pobiegłam zaraz do pani zapytać, czy mogę coś napisać o swojej roślince. I pani się zgodziła.

Wracałam do domu taka zadowolona, taka wesoła, że przez całą drogę podskakiwałam. A w domu, ledwie weszłam, powiada mama do mnie:

— Wiesz, Helenko, twoja pelargonja będzie kwitła.

Biegnę do okna, patrzę, a tu z zielonych osłonek wyglądają maleńkie, różowe stulone płateczki, a tak ich dużo... tak dużo!... I na tej gałązce, i na tamtej... Zdawało mi się, że cała roślina się do mnie śmieje temi młodemu pączkami.

Z. A. Sikorska.





Mal. A. Laszenko.

OBRAZEK Z ŻYCIA W AFRYCE.

29)

## TAJEMNICA HOGGARU.

*Napisał L. Życki-Malachowski.*

## UCZTA U KOCZOWNIKÓW.

Przed nimi zarysowała się najpierw ogromna zielona plama, tak odmienna od dotychczasowych szarych lub czerwonych przestrzeni, potem z tej plamy wyłoniły się stopniowo białe budowle i grupy palm daktylowych. Naprzeciw nadjeżdżającej karawany wyjechało z oazy kilku jeźdźców na wspaniałych rumakach i puściło się ku nim pędem.

Pan Łamicki, otoczony swą świtą, wyjechał na czoło karawany i wkrótce witał się z poważną serdecznością ze wspaniałym jeźdźcą, posiadającym białego, jak śnieg arabczyka. W jeźdźcu tym Telesforek poznał z radością swego znajomego z Warszawy, Alego ben Mohameda. Wódz przywitał się czule z wujaszkiem Jurkiem i z Telesforkiem, oraz uściśnił dłoń Jussupowi, poczem pan Łamicki przedstawił mu wszystkich członków ekspedycji.

Zkolei amenokal przedstawił im jeźdźców ze swej świty. Byli to najznacniejsi mieszkańcy oazy oraz naczelnik klanu Tuaregów, uznający władzę Alego. Klan ten, w swej wędrówce przez pustynię, rozbił swe namioty w oazie.

Naczelnik Tuaregów, imieniem Dheilana, skłonił się przed panem Łamickim i prosił, by ekspedycja raczyła uczynić mu ten zaszczyt i zamieszkać pod dachem jego namiotu. Pan Łamicki grzecznie uchylił zaproszenie, wymawiając się zbyt dużą liczebnością kompanji. Wówczas naczelnik klanu oświadczył, że będzie poczytywał sobie za honor podejmowanie tak cennych gości i przyjaciół jego pana dwa razy dziennie: przed południem i o zachodzie słońca tak długo, jak długo będą przebywali w oazie.

Poczem pożegnał się i pomknął ku swoim, aby się zająć przygotowaniami do uczt, a nasza karawana rozbiła namioty na skraju oazy, zaś wujaszek Jurek zwołał wszystkich Polaków i dał im lekcję gratisową dobrego zachowania się przy stole koczowników. Więc nie należało zabierać się odrazu do jedzenia na zaproszenie gospodarza, lecz udawać głuchych i dopiero po chwili, niby usłyszawszy jego zapraszający głos, spoglądać jeden na drugiego ze zdziwieniem i naglić sąsiada, by zbliżył się pierwszy. Lecz to należało zostawić wodzom. Przed jedzeniem odwinąć prawy rękaw aż do łokcia, gdyż je się palcami i przy jedzeniu nie mówić nic, gdyż rozmowa byłaby ujmą dla jakości jedzenia. Gdy się nasycą, nie powinni wstawać od jedzenia, aż wszyscy skończą i wódz da znak. Wówczas wszyscy wstają jednocześnie.

Przez ten czas amenokał Ali z panem Łamickim omówili różne sprawy ekspedycji. Wkrótce potem przyprowadzono z obozowiska Tuaregów kilka rasowych klaczy dla kierowników wyprawy. Każdego konia prowadził służący, gdyż swobodna lub prędka jazda byłaby, według mniemania Tuaregów, oznaką nieskromności. Inż. Łamicki, Zadora, Jussup i dwaj inżynierowie, nie mówiąc o Alim, dosiedli tych koni i udali się w kierunku namiotu, który miał być salą besiadną. Reszta podążyła na piechotę.

Gdy zajechali na miejsce, wypadły na nich z ujadaniem psy, przepędzane przez widzów uroczystości, których zebrała się spora gromada. Zsiadłszy z koni, weszli do części gościnnej namiotu naczelnika, rozszerzonej na tę okazję, starannie uporządkowanej i tak obróconej do słońca, żeby dać gościom cienia. Na ziemi rozłożono jaskrawe kobierce wzdłuż ścian, podkładając jako oparcie dla pleców i łokci juki wielbłądzie, pookrywane zwiniętymi, pilśniowemi dywanikami. Chmara dzieci, z których im mniejsze, tem mniej nosiły odzieży i tem więcej były pulchne, włożyła we wszystkie szczeliny, by móc im się napatrzeć dowoli. Najmłodsze maleństwa przyglądały się kompanji czarnemi, jak dżety oczkami, stojąc poważnie na rozstawionych szeroko nóżkach, zupełnie nagie i ssąc paluszki, jak to ten miły wiek ma wszędzie we zwyczajach.

Nastąpiła dłuższa pauza, w czasie której amenokał Ali opowiedział o postąpieniu z nim „czcicieli wody” a wujaszek Zadora potwierdził tę opowieść, dodając szczegóły o znalezieniu szejka na pustyni.

Telesforek, siedząc z powagą przy przepierzeniu, słyszał przytłumione głosy, dochodzące z gospodarskiej części namiotu, szcęknięcie naczyń i wciągał nosem smakowite opary jakichś potraw.

Po wybuchu oburzenia i chwili ciszy, jaka zapanowała po opowieści wodza, gospodarz zapytał szeptem: — Czarne czy białe? — Miało się to równać zaproszeniu, by goście wybierali kawę lub herbatę. Ali wybrał kawę. (Jak się potem Telesforek miał możność przekonać, herbata była u koczowników niesmaczna i gęsta, jak syrop). Na dany znak ukazał się sługa z imbrykiem kawy w jednej ręce i kilkoma filiżankami w drugiej. Nalał kilka kropel Alemu do filiżanki, inżynierowi Łamickiemu do drugiej a Zadorze do trzeciej i stanął w oczekującej pozycji. Gdy wszystkie

filiżanki opróżniły się, ta sama ceremonia powtórzyła się z następnymi gośćmi, dopóki wszyscy nie wypili. Potem zaczęło się znów zpowrotem to samo. Druga kolejka odznaczała się lepszym smakiem, niż pierwsza, gdyż kawa była już znacznie gęstsza a trzecia była wprost wyborna i bardzo aromatyczna.

Gdy ceremonia picia kawy dobiegła końca, przez tłum przecisnęło się dwóch służących z ogromną, o półmetrowej średnicy tacą z pobielanej miedzi, pełną po brzegi. Naokoło widniało obwałowanie z białego ryżu, szerokie na stopę i kilka centymetrów wysokie. Środek wypełniały czubato baranie nogi i żebra. Trzeba było conajmniej dwóch ofiar baraniego rodzaju, żeby taką górę mięsa, jakiej wymaga gościnność, na owej tacy nagromadzić. Sam środek zajmowały ugotowane głowy.

Tacę ową ustawiono na ziemi w pośrodku gości i dalszy korowód pomocników znosił kociołki i miedziane stągwie, w których to wszystko się gotowało. Przy pomocy żelaznych, emaljowanych miseczek kuchciki wyladowywali na ową tacę wszystkie zewnętrzne i wewnętrzne części owiec: a więc kawałki jakichś żółtych kiszek, białe, tłuszczowe poduszki z ogonów, ciemne mięso i szczerbinowatą skórę, wszystko to pływające w roztopionem maśle, w którym się gotowało.

Maśło to było prawie w stanie wrzenia i musiało dobrze przyć rękę owych kuchcików. To też co chwila któryś z nich rzucał swą miseczkę i wsuwał poparzone palce do ust dla ochłody, co czynił zresztą z widoczną przyjemnością. Jednakże wszyscy oni wytrzymali cierpliwie do końca, dopóki nie wyczerpali wszystkiej zawartości kociołków, przyczem na końcu wylali nienaruszone wątroby, ukryte w sosie.

Na zakończenie każdy kociołek brało po dwóch ludzi i wylewali znajdujący się w nim tłuszcz do tacy. Leli aż dotąd, dopóki tłuszcz nie pokrył mięsa i nie zaczął się przelewać przez ryżowe obwarowanie i spływać na ziemię. Było to ostatnim wyrazem wystawności. Gospodarz wezwał wówczas biesiadników, by się zbliżyli i zabrali do jedzenia.

Ci oczywiście, pomni przestróg Zadory, ociągali się i dopiero Ali powstał z ociąganiem się i przykleknął na jedno kolano koło tacy z jedzeniem. Telesforek trzymał się niedaleko wodza, by móc go naśladować w jedzeniu, lecz niebardzo mu się to udało, gdyż włożywszy rękę do półmiska, jeszcze ją prędzej cofnął poparzony, sos bowiem był niezmiernie gorący. Czekając, aż jego odcinek ryżu trochę przestygnie, obserwował amenokala, który ugniatał delikatnie między palcami, nie plamiąc dłoni, zgrabne kulki z ryżu, tłuszczu, wątroby i mięsa i wrzucał je do ust, opierając wielki palec o zgięty wskazujący. Telesforkowi, niestety, to się jakoś nie udawało i nigdy nie mógł do tego doprowadzić, żeby lepka kulka mu się nie rozlaża, lub szczęśliwie zsunęła się do miejsca przeznaczenia.

— I pomyśleć — westchnął chłopiec, — jak w domu człowieka mężczyli, żeby nie jadł nic palcami. Jakby mi się dzisiaj ta umiejętność przydała!

Zresztą i z innymi członkami wyprawy nie miała się rzecz lepiej i niektórzy woleli zrezygnować z jedzenia, niż męczyć się nad niem w tak

niezwykły sposób. Wreszcie Ali chrząknął znacząco i wstał, skłaniając się przed gospodarzem i mówiąc doń coś w języku Tuaregów, co brzmiało, według przekładu Jussupa: — Niech ci Bóg zapłaci, o panie tego domu! — Następnie zajęł poprzednie miejsce na dywanie a wszyscy wraz z nim. Przez ten czas służba uprzątnęła półmisek i obeszła wszystkich pokolei, polewając im ręce wodą.

Nakoniec podano jeszcze raz kawę i uczta była skończona. Trzeba było znowu wsiadać na konie i wracać z tym samym ceremonjałem do obozowiska.

Po uczcie udali się Europejczycy na zwiedzenie oazy, gdzie bogaci Arabowie przygotowali dla nich niespodziankę w postaci tańców. Tańczyły Murzynki i Arabki, strojne w czerwone szaty ze złotymi frendzlami. W uszach miały ogromne kolczyki a na rękach całą masę bransoletek i naramienników.

*Dalszy ciąg nastąpi.*

## Z KONGA BELGIJSKIEGO.

Wicie zapewne o tem, że wiele z pośród państw europejskich ma również i posiadłości zamorskie, czyli tak zwane kolonie. Obejmują one zazwyczaj obszary, przewyższające kilkakrotnie powierzchnię ziem, posiadanych w naszej części świata. Do maleńkiej Belgji naprzykład należą rozległe przestrzenie w Afryce Środkowej, które mają 17 milionów mieszkańców, pomimo to, że są rzadko zaludnione. Leżą one w dorzeczu rzeki Kongo, po obu stronach równika i noszą nazwę Konga Belgijskiego, w odróżnieniu od sąsiedniego Konga Francuskiego. Wnętrze kraju pokrywa przeważnie olbrzymia dziewicza puszcza, o wspaniałej roślinności, tworzącej sklepienia i splątany, nieprzebyty, zda się, gąszcz. Pozostałą część zajmują sawanny, czyli rodzaj wyżynnych stepów, gdzie pasą się stada szybko-nogich antylop. W puszczy żyją najprzeróżniejsi przedstawiciele świata zwierzęcego i ptasiego, obok rozmaitych płazów. Skrzekliwe głosy papug i małp rozlegają się nieustannie pośród gałęzi niebotycznych drzew, wtórując brzęczeniu niezliczonych owadów. Poprzez gęstwinę przemykają się bezszelestnie węże, oraz mnóstwo drobnych czworonogów. A i grubszy zwierz toruje sobie drogę ostrożnie, tak, że trudno go naogół wypatrzyć, zwłaszcza, że wędruje on przeważnie w pojedynkę. Wyjątek stanowią słonie, łączące się w stada. Spotyka się ich tu wiele. One to właśnie dostarczają cenną kość słoniową, która stanowi jeden z głównych przedmiotów wywozu tej krainy. Wogóle największa ilość kości słoniowej pochodzi z Afryki. Bywa ona koloru białego, lub żółtawego. Jest też nieco przeświecająca i poprzecinana drobnymi żyłkami. Daje się barwić, ale przedewszystkiem toczyć, dzięki temu, że jest elastyczna, a jednocześnie bardzo twarda. Używa się jej więc na najprzeróżniejsze piękne wyroby ozdobne, najczęściej kunsztownie rzeźbione. Nazwa jej jest natomiast dość nieścisła. Substancja ta nie pochodzi bowiem z kości słoni, lecz z potężnych zębów samców tych wielkich i ciężkich stworzeń. Zwierzęta te posiadają uzębienie niezupełne. Ich górne siekacze nie mają wcale korzeni i rosną stale, wystając z pyska i dochodząc nieraz bardzo znacznej długości, jako tak zwane „kły”. Każdy taki pojedynczy „kiel” przedstawia wielką wartość, tembardziej, że polowanie na słonie połączone jest z dużem niebezpieczeństwem. Wymaga też nielada umiejętności i wytrwałości, w czem celują czarni krajowcy, murzyni Bantu, których wioski, nędzne i ubogie, leżą zrzadka porozrzucane wśród przestrzeni dziewiczego lasu.

*W. Wielińska.*

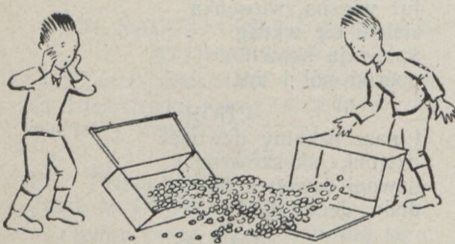


Fot. Photo-Plat.

MURZYNI Z KONGA BELGIJSKIEGO Z KLAMI SŁONI.

## Dział rozrywek.

### ZADANIE.



Szef zawołał Wicka:

— Weź to pudło kościanych guzików i zanieś szybko na dół do magazynu, mają mi dać takie same drewniane.

A na dole pan magazynier woła Wacka:

— Wacek! Masz tu pudło drewnianych guzików, zanieś je pędem na górę, do kantoru!

Biegnie Wacek na górę, pędzi Wicek na dół.

Bęc! — zderzyli się w korytarzu.

Buch! — Oba pudła upadły. Guziki wszystkie na podłodze!

— O rety! — woła Wacek, — przecież te guziki jednakowusieńkie, jak my je teraz podzielimy?!

Wicek bierze jeden guzik, drugi, trzeci... — żadnej różnicy; wszystkie okrągłe, szare jakies i twarde.

Straszne zmartwienie mają Wicek i Wacek. Kto im poradzi, jak odróżnić drewniane guziki od kościanych?

### HALLO! TU RADJO DO WAS MÓWI!

Wiosna już się zaczęła! Nietylko w kalendarzu! Dnie coraz dłuższe, skowronki przyleciały, słońce coraz gorętsze... Radosny nastrój przenika i do audycji radiowych. To też dzisiejszy (22.III g. 15.35) program zawiera dwie audycje o charakterze prawdziwie wiosennym: najpierw zabierze głos prof. Al. Janowski i opowie o „kłopotach sikorki”, a także innych ptaków, które, w oczekiwaniu piskląt, mają mnóstwo pracy przy budowie wygodnych i bezpiecznych gniazdek. Po tej pogadance usłyszą dzieci śliczną historyjkę o „Przebiśnieżku, który szukał wiosny”. Mały, drobny kwiatek, przewyciężywszy trudy i obawę, wędruje na ziemię i tutaj przy pomocy promyków słonecznych uwalnia z więzów lodowych wiosnę. Ale, nim wiosna na dobre obejmie rządy nad światem, muszą stopnieć śniegi i lody, muszą wody spłynąć do rzek, a z nimi do morza. Niebezpieczna to chwila: nadmiar wiosennych wód powoduje groźne wylewy, które niszczą dobytek ludzki, często też zagrażają życiu ludzi i zwierząt. Walka z tym wrogim żywiołem — opromieniona bohaterstwem małej, dzielnej dziewczynki, stanowi treść sobotniego (25.III g. 15.35) słuchowiska dla dzieci p. t. „Powódź”, opracowanego według opowieści F. Goetla.

Niedzielną (26.III g. 16) program dla młodzieży zawiera radjopogawędkę na temat „Co się dzieje na świecie”, omawiającą najnowsze zdobycze techniki i wiedzy współczesnej oraz streszczenie (dokonane przez B. Hertza) poematu greckiego p. t. „Bój Zabiomyśi” w przekładzie Ign. Wieniewskiego.

### OD REDAKCJI.

Zawiadamy Was, kochani Czytelnicy, że w przyszłym numerze „Płomyka” będzie niespodzianka może niebardzo miła, bo na jednej ze stron nie będzie ani obrazka, ani nic do czytania, a na drugiej będą tylko trzy wyrazy.

Wiemy, że się tem trochę zmartwicie, ale trudno...



żej sali licealnej o Dworku Cisowym, a Pan Dyrektor Seminarjum-Liceum mówił nam o swojej szkole. Ostatniego dnia przed południem byliśmy na górze Bony, na której znajdują się ruiny obronnego zamku. Ze szczytu widzieliśmy dokładnie całe miasto i ostre przejście wyższego Podola, z którym łączy się wąskim paskiem góra Królowej Bony, w niski Wołyń. Na cmentarzu widzieliśmy grób matki Słowackiego (Krzemieńiec jest rodzinnym miastem poety).

W Krzemieńcu przytrafiło się nam nieszczęście, gdyż jednej druchnie zrobił się wrzód na dłoni i musieliśmy ją zostawić w szpitalu, gdzie przeszła operację. Obecnie jest zdrowa i znajduje się w Dworku.

Z Krzemieńca wyjechaliśmy przez Tarnopol do Zaleszczyk.

Przez cały czas pobytu w Zaleszczykach mieliśmy piękną pogodę. Wieczorem po przyjeździe nie wychodziliśmy już z wagonu. Dopiero następnego dnia rano poszliśmy wszyscy wykapać się w Dniestrze, do którego mieliśmy bardzo niedaleko od stacji kolejowej. Po kąpeli i śniadaniu wyruszyła cała nasza gromada z plecakami na jednodniową wycieczkę jarem Dniestru. Wiecie, że Podole jest płytą, t. z. płaską wyżyną, Dniestr zaś płynie w dole tak, że brzegi jego, wtenczas, kiedy stoi się nad wodą, przedstawiają się, jak wysokie skały. Gdyśmy się jednak wdrapali po wysokich brzegach na szczyt, nie mieliśmy przed sobą żadnej góry tylko rozciągającą się przed nami płaszczynę i płaszczynę, a w dole jaru wolno płynący Dniestr. Dniestr przy zachodzie słońca mieni się tysiącem barw. Jest on różowy od słońca, niebieski od nieba, zielony od drzew, w nim się odbijających, prócz tego ma tysiące odcieni i barw z samego siebie.

Do wagonu naszego wróciliśmy późnym wieczorem, nie mogąc zapomnieć pięknych widoków, jakie oglądaliśmy nad Dniestrem. Następnego dnia inżynier Szkoły Rolniczej oprowadzał nas po plantacjach winogron, brzoskwiń i moreli. Nie chcieliśmy wprost wierzyć naszym oczom na widok krzaków winnych, rozpiętych na żelaznych siatkach, a na nich wiszące ogromne kiście winogron, dojrzewających jak jabłka, gruszki lub inne owoce u nas.

Ażeby z Zaleszczyk dostać się do Kołomyi najkrótszą drogą, musieliśmy jechać przez Rumunję. W drodze z Zaleszczyk przejechaliśmy przez długi i bardzo wysoki most nad Dniestrem, na którym z jednego końca stał strażnik polski a z drugiego rumuński. Przez Rumunję przejeżdżaliśmy tylko 20 minut, jednak było nam bardzo przyjemnie, że byliśmy zagranicą.

W Kołomyi nastąpiła przerwa w naszej podróży wagonem kolejowym, ponieważ do Kosowa niema kolei. W Kołomyi przepakowaliśmy wszystkie sienniki, plecaki, walizki i nasze inne graty na dwa autobusy, które nas zawiozły do Kosowa. W Kosowie Dr. Tarnawski, który tam ma znany na całą Polskę zakład leczniczy, dał nam do rozporządzenia całą willę. Tam mieszkaliśmy dwa tygodnie.

*Dokończenie nastąpi.*

---

#### WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1932/33.

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. poj.
„Płomyk”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 gr.
„Płomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 gr.
„Płomyk” z „Płomyczkiem”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 gr.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

**Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie Nr. 35**  
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6).

**Dla prenumeratorów warszawskich biuro administracji ul. Świętokrzyska Nr. 13.**  
Nr. telefonu administracji 322-18, redakcji 538-26. Konto czekowe P. K. O. 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja przy ul. Świętokrzyskiej otwarta codziennie od godziny 9-ej rano do godziny 7-ej wiecz., na Wybrzeżu Kościuszkowskim od 9-ej rano do 2-ej pp.

---

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI.  
Redaktorka—HELENA RADWANOWA. Kierownik artystyczny—MICHAŁ BYLINA.

---

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.



Z balonikiem